ŚMIETANKA STOLICY

MIEJSCE W ŻYCIU WYZNACZA MI PRACA

BARBARA KRAFFTÓWNA wyjechała z kraju w 1983 r. na zaproszenie teatru w Los Angeles. Nie zamierzała zostać w Ameryce na stałe. Po prostu dostała propozycję nie do odrzucenia.

– Reżyser, Polak starszej emigracji, Leonidas Ossatyński chciał, żebym zagrała tytułową rolę w sztuce „Matka" Witkacego. Byłam pewna, że spektakl zostanie wystawiony w języku polskim. Kiedy jednak okazało się, że w angielskim, pomyślałam, że propozycję skierowano do niewłaściwej osoby. Ale to nie była pomyłka – chciano właśnie mnie, a ponieważ nie znałam języka, została przygotowana taśma z nagranym tekstem i otrzymałam żywą pomoc w postaci mówiącej po polsku Amerykanki. Uczyłam się roli fonetycznie. To było bardzo interesujące doświadczenie. Poznałam tyle słów angielskich, ile zawierała moja rola. Niestety, to nie wystarczyło, by móc się porozumiewać z aktorami na scenie. Język literacki, a szczególnie witkacowski, niewiele ma wspólnego z potoczną mową. Nauczyłam się mnóstwa nieużywanych zwrotów, archaizmów – opowiada aktorka.

Pani Barbarze byłoby wtedy o wiele łatwiej, gdyby współczesne suflowanie wyglądało tak, jak w teatrze dziewiętnastowiecznym, kiedy aktor po prostu powtarzał swoje kwestie za suflerem.

Fot. Elżbieta Łukaszewicz

Czasami brakuje jej „amerykańskiej" atmosfery

– Było wielką sztuką umieć go słuchać i wygłaszać podpowiadane zdania we właściwej interpretacji. W tamtych czasach aktor nie uczył się roli na pamięć. Byłoby to niemożliwe, ponieważ co tydzień była nowa premiera. Dobry sufler był wówczas najważniejszą osobą w teatrze – wyjaśnia Barbara Krafftówna.

Rola matki zagrana przez gwiazdę znad Wisły przyniosła sztuce sukces i artystka

została za oceanem

Tam wyszła za mąż za amerykańskiego aktora Arnolda Seidnera. Wypatrzyła go sobie ze sceny, podczas recitalu w International Institute w San Francisco. Ogromnie się zdziwiła, kiedy okazało się, że ów urodziwy pan na widowni jest dyrektorem tegoż Instytutu. Ona nie znała jeszcze angielskiego, on – polskiego. Porozumiewała się z nim za pomocą słów z dramatu Witkacego. Miesiąc później pobrali się. W pół roku po ślubie Barbara Krafftówna została wdową. Po raz drugi los okrutnie ją doświadczył – pierwszy mąż artystki, Michał Gazda, którego poślubiła po dwóch tygodniach znajomości, zginął w wypadku samochodowym.

Po śmierci drugiego męża Barbara Krafftówna rzuciła się w wir pracy. Najpierw mieszkała w San Francisco. Do Los Angeles przeprowadziła się, kiedy dostała propozycję stałej współpracy z polskim Teatrem im. Heleny Modrzejewskiej. Od tego czasu z okien swojego domu ogląda zielone wzgórza z napisem „Hollywood".

W tym magicznym miejscu uczyła się angielskiego, grała w teatrze, wyreżyserowała przedstawienie „Kram z piosenkami" Leona Schillera, a także udzielała lekcji młodym adeptom sztuki. Do dziś wykłada w Instytucie Filmowym, gdzie ma zajęcia ze studentami pierwszego i drugiego roku. Teraz chce w Los Angeles założyć własne studio aktorskie.

- Zawsze lubiłam pracować z młodzieżą. Zagrałam w dyplomowym spektaklu studentów wydziału aktorskiego na uniwersytecie w Los Angeles i w dyplomowym filmie początkującego reżysera „Jak być Amerykanką".

Kiedy mieszkała w San Francisco, 1986 rok został ogłoszony przez prezydenta Reagana rokiem Polski. Uczniowie ostatnich klas licealnych zdawali na maturze wiedzę o Polsce. W szkołach były także organizowane konkursy.

– Zwrócono się wtedy do mnie z prośbą, żebym przygotowała z tej okazji uroczysty koncert oraz program estradowy dla wyróżnionych i nagrodzonych. Młodzież była świetnie przygotowana. Praca z nią dała mi wtedy dużo satysfakcji.

Od trzech lat pani Barbara

coraz częściej i dłużej przebywa w Polsce

W 1993 r. przyjechała do kraju, by zagrać babcię Leokadię w komediowym serialu Waldemara Dzikiego „Bank nie z tej ziemi". Reżyser odnalazł aktorkę w Los Angeles. Gdy przyjechała, zaraz rozdzwonił się telefon i wkrótce zagrała Ducha w następnym filmie – p.t. „Skutki noszenia kapelusza w maju" Krystyny Krupskiej. Nagrała w Klubie Scena telewizyjny program „Wykład" z Lucjanem Kydryńskim i Jerzym Gruzą, dwa spektakle dla Teatru Telewizji: „Sztukę przekładu" Laco Adamika, gdzie odtwarza postać rosyjskiej primaballeriny, oraz „Królewską grę" w reżyserii Roberta Glińskiego.

Choć przez osiem lat mieszkała na drugiej półkuli, nie tęskniła za krajem.

Była zbyt zajęta i ciekawa świata,

dużo podróżowała. Poznawała coraz to nowych, fascynujących ludzi. Wszędzie ma przyjaciół, którzy ją do siebie zapraszają i w związku z tym planuje podróż dookoła świata – będzie jeździła od znajomych do znajomych.

– Los oszczędził mi męki, która nazywa się nostalgia. Świat jest tak piękny, a ludzie tak interesujący, że – na szczęście – nigdy się nie nudziłam i nie miałam czasu na tęsknotę. Jeśli czegoś bywało mi brak, to bliskich znajomych. Podobnie teraz – kiedy jestem w Polsce, tęsknię za przyjaciółmi, ludźmi, których polubiłam i z którymi się zżyłam. A gdy znowu jestem tam – tęsknię za polskimi znajomymi. W Polsce dużo pracuję, przygotowuję program rozrywkowy, więc nie mam czasu na nostalgię, choć czasami brakuje mi „amerykańskiej" atmosfery. Tam nikt nie narzeka, wszyscy są mili, przyjaźni, uśmiechnięci. Amerykanie nie obciążają innych swoimi problemami, tu natomiast każdy o nich mówi.

Teraz, kiedy próbuje zadomowić się w Polsce, ze smutkiem zauważa, że tradycja, którą tak ceniła i którą uważała za największą wartość duchową rodaków, pomału zanika.

– Jak na ironię losu, w Ameryce, która tych tradycji ma niewiele, nabierają one coraz większego znaczenia. Zderzenie różnych kultur i religii wytworzyło coś takiego, co każe pielęgnować „przywieziony" dorobek duchowy poszczególnych nacji. To tworzy niepowtarzalny klimat – wszyscy się szanują i są ciekawi swoich zwyczajów.

■ OLA PIWOŃ